

Życie to wyzwanie

AUTOR: PIOTR SOBIERSKI

Company to spektakl, który niczym najlepszy terapeuta radzi, aby zaprzyjaźnić się z samym sobą. Bo tylko wewnętrzna równowaga może zapewnić szczęście i umiejętność przewyższania przeciwności losu. Tak w musicalu o przyziemnych, ale i prawdziwych sprawach potrafił mówić tylko Stephen Sondheim.

■ „Szekspir musicalu” – utarło się mówić o zmarłym pod koniec 2021 roku Stephenie Sondheimie – kompozytorze, dramaturgu i autorze tekstów. Jego dorobek stanowi dzisiaj fundament gatunku. W Polsce wciąż jest odkrywany, ale nawet gdy już pojawia się na scenie, a dzieje się to niezwykle rzadko (*Sweeney Todd: Demoniczny golibroda z Fleet Street* i *Niedziela w parku z George’em* zrealizowane w Teatrze Rozrywki w Chorzowie oraz *West Side Story* z tekstami piosenek jego autorstwa wystawione w kilku teatrach), to nie poświęca się mu za wiele uwagi. Tymczasem na Zachodzie od dekad wynoszony jest pod niebiosa.

W ramach nadrabiania zaległości polska widownia ma szansę ponownie obcować z twórczością mistrza. Na afisz Warszawskiej Opery Kameralnej trafił musical *Company*, wspólne dzieło Sondheima i George’a Furtha, autora libretta. Tytuł przeżywa obecnie drugą młodość – cztery lata temu został ponownie wystawiony na West Endzie, a chwilę później na Broadwayu. Obie realizacje w reżyserii Marianne Elliott zachwyciły świeżością, energią, inscenizacyjną skromnością i gwiazdorską obsadą, by wymienić choćby Patti LuPone. Nie bez znaczenia była reinterpretacja dzieła, której Elliot dokonała przy współudziale i za zgodą samego Sondheima. Na kilka dni przed śmiercią, analizując decyzję o zmianie płci głównego bohatera, artysta stwierdził na łamach „New York Timesa”: „Tym, co utrzymuje teatr przy życiu, jest możliwość robienia go zawsze inaczej, nie tylko ze świeżymi obsadami, ale i ze świeżym punktem widzenia”. Inne rozłożenie akcentów pozwoliło spojrzeć

na świat oczami współczesnego człowieka, ale w żaden sposób nie osłabiło pierwowzoru, którego wymowa zdaje się być ponadczasowa.

W głębi każdej z postaci wciąż odnaleźć można różnorodne i reprezentatywne poglądy na życie. Chociaż zapewne *Company* w nowym kształcie, przedstawiając świat widziany oczami kobiety oraz światopoglądową mozaikę, w tym jednopłciowe związki, mogłoby dzisiaj w Polsce wywołać podobną ekscytację, jak premierowy pokaz tytułu na Broadwayu ponad pięćdziesiąt lat temu. Postawa Roberta, głównego bohatera, a także jego przyjaciół wprawiała wówczas w osłupienie. Musical fascynował, bo wbrew tradycji gatunku widz doświadczał historii bliskiej swoim problemom i rzeczywistości. Dzisiaj poważne tematy na scenie teatru muzycznego to chleb powszedni, trudno więc oczekiwać podobnej temperatury doznań. Prędzej poczucia niewygody, tak charakterystycznego dla teatru, który wybija ze strefy komfortu. Nie ma tu prostej i przyjemnej rozrywki, na scenie stoi zaś lustro, w którym nie zawsze z przyjemnością widz musi się przejrzeć.

Reżyseria Michała Znanieckiego nie przybliży jednak widza do emocji, które towarzyszyły premierze i późniejszym realizacjom tytułu. Spektakl bez większej refleksji i zagłębienia w meandry słów i dźwięków obdarty został ze wszystkich atutów oryginału. W całym scenicznym chaosie oraz mało subtelnym tłumaczeniu tekst pozbawiony jest tempa, a to w słowach właśnie tętnić powinna metropolia, konkretnie Nowy Jork, w którym rozgrywa się akcja.

Zaskakuje przerost formy nad treścią, począwszy od scenografii Luigiego Scoglia, po kostiumy Ewy Minge, niedopasowane do charakterów postaci i ich otoczenia. Przez scenę przechodzi bezbarwna masa, w równie pozbawionej wyrazu choreografii Ingi Pilchowskiej. To prawdziwa kakofonia stylów i konwencji, w której każdy z elementów walczy o pierwszeństwo, nie składając się w spójną inscenizacyjną wizję. Wyjątkiem jest muzyka, którą orkiestra pod dyktando Tomasza Szymusia wykonuje z dbałością i należną wrażliwością, ale to światełko co rusz gaśnie pod naporem braku szacunku do tekstu i rozmycia jego sensów. Poczucie straty ważnych słów podbijają niedopracowane kreacje.

Obcując z dziełem Sondheima, który tak mocno opierał swoją twórczość na aktorstwie – na dramatycznych i wokalnych umiejętnościach obsady – Znaniecki pozostawił ten element w całkowitej rozsypce. Spektakl przypomina zbiór etiud, w których bronią się tylko nieliczni, ale nawet potencjał tych najlepszych jest kompletnie niewykorzystany, czego przykładem są Marta Burdynowicz, Anna Sroka-Hryń czy Przemysław Głapiński. W spektaklu dominuje niechlujne i bezbarwne granie (zadziwia postawa pozbawionych charyzmy Alicji Węgorzewskiej i Macieja Miecznikowskiego) oraz przerysowanie, jak w przypadku zdolnej skądinąd Anastazji Simińskiej.

Robert (udana rola Janusza Krucińskiego), nazywany również Bobbym, w dniu swoich czterdziestych piątych urodzin (w oryginale bohater jest o dziesięć lat młodszy) nie odbiera telefonu. W konsekwencji jego pocztę głosową



fot. Grzegorz Barjelt / Warszawska Opera Kameralna

Company, reż. Michał Znaniecki, Warszawska Opera Kameralna (2022)

wypełnia zbiór mniej lub bardziej poważnych wiadomości. Z głosów jego przyjaciół wyłania się postać kobieciarza, beztroskiego kochanka, ale przede wszystkim nieustatkowanego mężczyzny, który prowadzi swoje życie, a właściwie w nim tonie, nie przystając do norm otaczającego świata. Konfrontacja z rzeczywistością i porządkiem regulującym życie społeczne mieszkańców wielkiego miasta przerasta możliwości bohatera, niepotrafiącego zaadaptować się do reguł i spełniać oczekiwań.

Są młodzi, piękni i zjednoczeni, ale tylko do momentu, gdy osiągną oczekiwaną stabilizację. Rodzina, dzieci oraz obowiązki zmieniają ich system wartości. „Dzięki, że znaleźliście na mnie miejsce w swoich myślach, w swoim życiu, w swoich rodzinach” – mówi Robert do znajomych. Kto miałby bowiem przejmować się przegranym facetem, który wkroczył w schyłkowy etap swojej egzystencji?

W pierwszej scenie, gdy jubilat zdmuchuje świeczki na urodzinowym torcie, przyjaciele przypominają, aby pomyślał życzenie. Ten jednak bez zahamowań stwierdza, że niczego sobie nie życzy, co staje się kolejnym tematem dywagacji. Przecież należy marzyć, a najlepiej mieć konkretny plan na życie. Jedynie Susan (Anna

Sroka-Hryń) stwierdza, że „widocznie tak mu dobrze”, co brzmi jak koło ratunkowe rzucone w stronę spisanego na straty przyjaciela.

Opowieść o damsko-męskich problemach, blaskach i cieniach wspólnego pożycia oraz uporczywej pogoni za szczęściem to coś na kształt snu, w którym powracają niczym bumerang obrazy z przeszłości. Pięć par, które w różnych okolicznościach pojawiają się w opowieści Roberta, odzwierciedla trud budowania relacji. Jedną z nich to książkowy przykład związku opartego na przemocy, w którym ściera się pogubiony alkoholik i agresywna, wiecznie odchudzająca się kobieta. Inna z par planuje rozwód, a ta najmłodsza stażem, stojąc już niemal przed ołtarzem, przeżywa rozterki na temat swoich wyborów i dalszych ich konsekwencji. Do tego pojawia się pochod dawnych partnerek, które również nie stronią od dosadnych komentarzy.

Wbrew pozorom w tej historii nie ma wygranych i przegranych, a poszukiwania Roberta, mimo że podważane przez najbliższe otoczenie, są tyleż frustrujące, co pouczające. „Wszystko mam, poza wolnością, która jest wszystkim” – mówi jeden z kolegów. Szybko uzupełnia myśl: „Mam żonę, dom, dzieci. Czasem musisz coś poświęcić, by coś zyskać”.

Wypowiadając te słowa, szuka jednak akceptacji u Roberta. Jedynym spoiwem większości z nich zdaje się bowiem iluzja szczęścia, wzajemne poświęcenie, obecne i przyszłe dzieci. Nowy Jork, czy każda inna metropolia świata, to miasto perspektyw, o czym co rusz przypominają bohaterowie sztuki. Każdy chce spełniać w nim swoje marzenia oraz sny. Ze swojego snu Robert nie chce się jednak wybudzić. On wciąż szuka i obawia się konfrontacji z rzeczywistością. „Ja boję się wziąć ślub, a ty, że go nie weźmiesz. Musisz chcieć kogoś poślubić, a nie kogokolwiek” – mówi Amy.

To chyba najważniejsza myśl płynąca z *Company*. Spektaklu, który niczym najlepszy terapeuta radzi, aby zaprzyjaźnić się z samym sobą, bo tylko wewnętrzna równowaga może zapewnić szczęście i umiejętność przezwycięzania przeciwności losu. Tak w musicalu o przyziemnych, ale i prawdziwych sprawach potrafił mówić tylko Sondheim. ■

Warszawska Opera Kameralna
Company Stephena Sondheim'a i George'a Furtha
tłumaczenie Maciej Glaza
inscenizacja, reżyseria Michał Znaniecki
premiera 26 marca 2022